



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Tadeusz Sławek: stawka mniejsza (przypis)

Author: Piotr Bogalecki

Citation style: Bogalecki Piotr. (2016). Tadeusz Sławek: stawka mniejsza (przypis). W: P. Bogalecki, Z. Kadłubek, A. Mitek-Dziemba, K. Pospiszil (red.), "Polytropos : na drogach Tadeusza Sławka" (S. 575-588). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Piotr Bogalecki

Uniwersytet Śląski w Katowicach

Tadeusz Sławek: stawka mniejsza (przypis)

„Trzeba zrobić ruch POD.
I ten ruch nazywa się myślenie.
Gdy myślę, schodzę POD,
czytam – to właściwie czytam to, co POD.
POD czytuję”

(T. SŁAWEK: *Przed-teo za-logia. Stanisława Dróżdża teologia
przymków*. „Anthropos?” 2007, nr 8–9.
[http://www.anthropos.us.edu.pl/anthropos5/texty/slawek.
htm#1dol](http://www.anthropos.us.edu.pl/anthropos5/texty/slawek.htm#1dol) [dostęp: 15.01.2016])

To ja¹

1 przypis. Choć nie przypisano mi osobnej roli w zapadającym w pamięć *Aneksie* wieńczącym zredagowaną przez Tadeusza SŁAWKĄ i Wojciecha KALAGĘ ważną, arcyważną książkę *Tekst (Czytelnik) Margines* (Katowice 1988), pozwałam sobie po latach dopisać się do listy postaci, które można było wówczas odegrać. Rzecz jasna – występując w postaci pobocznej, a właściwie poddanej: jako postać poddanego, postać podmiotu – nie mógłbym liczyć wówczas na wiele. Nie dla mnie nieskończona wszechwładza Tekstu, któremu głosu (pióra?) użyczył wówczas Tadeusz Rachwał. Odmówiono mi intrygującej bieli Marginesu (Wojciech Kalaga); założono też, że typowy Czytelnik (Emanuel Prower) omijać mnie będzie szerokim łukiem, nie chcąc rozproszyć uwagi czy zgubić wątku. Najbliżej byłoby mi już chyba do Nawiasu (Tadeusz Sławek), ale przecież ten – otwarty i wszedłbyłski – świetnie odnaleźć się może nie tylko w tekście głównym, ale i w motcie, a nawet (o marzeniu!) wysoko w tytule. Moją tymczasem kondycją jest niższość, wtórność i nieistotność, by nie powiedzieć wręcz – nieistotność: bez wymienionych nie istnieję, podczas gdy tamci radzą (i poradzili) sobie beze mnie świetnie. Nie śmiałbym więc nawet

marzyć o tak wspaniałych rolach, jak kreacje Tamtej Czwórki, co najwyżej zaś o epizodzie, jaki odnotowany zostać mógłby co najwyżej przez tych, którzy zdążyli jeszcze osiąść zapomnianą dziś umiejętność czytania małym druczkiem. W istocie bowiem żywiołem moim jest pomniejszość. Pomniejszony o przynajmniej dwa stopnie przyjętego rozmiaru czcionki, umniejszam znaczenie każdego tekstu, który mam przyjemność – *qui, qui* – brać w siebie, zawierać, gościć. Nawet Największe Słowa i Największe Narracje, gdy tylko zakosztują mojej gościny, stają się zaledwie kwestiami przypisowymi – nieprzepisowymi, bocznymi odnogami myśli, które należy jak najprędzej opuścić i powrócić na główną, szeroką arterię dyskursu. Nieraz wydaje mi się, że moim przeznaczeniem jest bycie porzucanym – uparcie, wciąż na nowo, stale. Gdybym mógł odwołać się do literatury – w której pojawiać się dziś prawie wyłącznie w roli osobliwości czy kuriozum, niczym gadające zwierzę lub kobieta z brodą – moimi ulubionymi bohaterkami nie zostałyby Medea czy Ariadna: owszem, wykorzystane i porzucone, ale tylko raz („tylko raz”; cóż „zdarza się tylko raz?”). Znacznie bliżej byłoby mi, dajmy na to, do Justyny, wykorzystywanej i porzucanej w nieskończoność tylko po to, by jeszcze bardziej uprzytomnić sobie, że cała niewinność i cnota na nic się zdają, gdy tylko przyjdzie znaleźć się na dnie (że poniżaniu temu nie może być końca, zaświadcza najlepiej przykład samego de Sade’a, który po ukończeniu jednotomowej wersji *Niedoli cnoty* z 1791 roku nie wypuścił pióra z ręki i napisał wersję czterotomową). Ja również jestem na dnie, zawsze u dołu stronicy, wzgardzony i poniżony – w miejscu, w którym, jak ona, nie mogę już liczyć na nic. Nie liczę zatem. To raczej mnie liczą, nie czytają (przynaj, Drogi Czytelniku, czyż nie zmęczyłeś się już lekturą przypisu na tyle, by zacząć kartkować ten artykuł, daremnie poszukując powrotu do tekstu głównego?). Wliczają mnie w uporządkowany ciąg liczb, którego początek zawsze ten sam, a którego kresu nigdy nie poznają. Cóż nudniejszego niż przypis? – krzywią się – utyskując na przykry obowiązek, jakim się dla nich stałem. Przyzwyczajony do tego, doskonale zdaję sobie sprawę z powodów, dla których musiałem zostać pominięty – wszak jako redaktorzy książki Kałaga i Stawek już na wstępie postavili sobie za cel „otwarcie dyskursu akademickiego na to, co zawsze pozostaje w nawiasach, na marginesach i w naszych myślach jako czytelników własnych tekstów” (ibidem, s. 7). Na cóż innego mógłbym liczyć, skoro funkcjonuję wręcz jako symbol owej „akademickości”, synekdocha stylu naukowego, probierz profesjolektu? Nieodłączny emblemat tej nauki, która „nie myśli” (M. HEIDEGGER: *Co zwie się myśleniem?* W: IDEM: *Odczyty i rozprawy*. Przeł. J. MIZERA. Kraków 2002, s. 117) – a jedynie powtarza, papuguje, zaczernia miliony stronic tak, aby przypadkiem nie powiedzieć nic nowego. Z tak rozumianą „naukowością” – zainteresowaną tyleż przypisami, co popisami próżnej erudycji – Tadeusz Stawek od zawsze miał na pierśku. W *Ujmować*, nazywając „tradycyjny wykład akademicki – chłodną i bezosobową prezentacją poglądów innych osób”, definiował wszak naukę – ów „dyskurs »opinii, przesądu, tradycji«” – jako „»powierzchniowy« porządek” myśli, pod który wniknąć może jedynie – przez lata wypracowywana w jego tekstach – niespętana regułami, głęboko filozoficzna „własna forma wypowiedzi” (t. STAWEK: *Ujmować. Henry David Thoreau i wspólnota świata*. Katowice 2009, s. 28). Cóż, mimo że nie robię właściwie nic innego prócz schodzenia w głąb, jestem, jak widać, zbyt „chłodny i bezosobowy”

(czy aby na pewno? Któż mieści więcej osób, przynosi więcej imion własnych?), bym mógł zostać uwzględniony w *Aneksie*...

A przecież nie od początku odgrywałem rolę aż tak poślednią i kojarzyłem się aż tak „akademicko”. Bez wahania sięgali po mnie romantyczni wieszczowie (i Mickiewicz, i Stowicki, i Krasiński, i Norwid), stosowali mnie nobliści (Sienkiewicz, Miłosz), używali poeci znani i czytani (Iwazkiewicz, Gałczyński, Rymkiewicz)... Pod imionami glosy, scholii, noty, przyczynku czy wreszcie przypisku pojawiałem się także w literaturze dawniejszej, czego dowody znaleźć można już u Arystotelesa i Cicerona (jak na przypis przystało, odesłę w tym miejscu do źródła – choć wyznać muszę, że nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego akurat w ten sposób nazywa się teksty w gruncie rzeczy przypadkowe, szczęśliwie wyłowione z rzeki czasu, w której aż roi się wszak od najróżniejszych dzieł i dziełek: zob. H. MARKIEWICZ: *Nieco o przypisach*. W: IDEM: *O cytatach i przypisach*. Kraków 2004, s. 59–88). Istotnie jednak dziś – pominąwszy chwalebne wyjątki, których odnotowanie stanowiło wyzwanie nawet dla Henryka Markiewicza („Innych nowych przykładów z terenu poezji nie udało się znaleźć, co oczywiście może wynikać z niewystarczającego odczytania autora” – ibidem, s. 85. Por. W. WIRPSZA: *Wielka szyba; Składanka; Błoto*. W: IDEM: *Przesady*. Warszawa 1966, s. 47–53) – pojawiając się przede wszystkim w piśmiennictwie naukowym, choć i tu coraz odważniej wieścić próbuje się mój „zmierzch” (Zob. H. MARKIEWICZ: *Świeć i zmierzch przypisów naukowych*. W: IDEM: *O cytatach i przypisach*, s. 89–104). Jako rzeczże Źródło: „jeśli [...] nowe formy zapisu bibliograficznego zwyciężą, znikną wówczas owe uroki przypisów, o których pisał Julian Tuwim: »O, jaki wilczy mam apetyt / Zapaść się w przypisów petit, / W owe p[atr]z, ib., por., cf., l.c. / Itp. Drobiazg ważny wielce«” (ibidem, s. 102; cyt. wewnątrz: J. TUWIM: *Kwiaty polskie*. Oprac. T. JANUSZEWSKI. Warszawa 1993, s. 84). Co do mnie, ostrożny byłbym z tego typu kasandrycznymi prognoząmi. Zdarza się bowiem i tak, że i dziś przyznawane bywają mi nieco ważniejsze role, a nawet, jak stwierdzić można, role pierwszoplanowe – jak choćby w cudownym *Bladym ogniu* Vladimira Nabokova, na którego wstępie obwieszcza się, iż fundamentalną „rzeczywistość” każdego tekstu „ukazać [...] mogą [...] tylko [...] przypisy” (V. NABOKOV: *Blady ogień*. Przeł. S. BARAŃCZAK, M. KŁOBUKOWSKI. Warszawa 2011, s. 26). Także w nauce nie radzę sobie chyba najgorzej, skoro – dla przykładu – Michał Paweł Markowski rozpoczyna swoją książkę o Gombrowiczu od następującego przypisu: „Od razu uprzedzę czytelników, że w książce niniejszej przypisy nie ograniczają się jedynie do lokalizacji cytatów, ale stanowią jej integralną część. Są one często miejscem formułowania hipotez interpretacyjnych, których nie należy bynajmniej traktować pokątnie. Być może to w przypisach, na marginesie tej książki, dzieją się, jak to czasem bywa, najciekawsze rzeczy” (M.P. MARKOWSKI: *Czarny nurt. Gombrowicz, świat, literatura*. Kraków 2004, s. 7). Bywa i tak, że, owszem, mieszcę sprawy „najciekawsze”, ale niekoniecznie dla odautorskiej argumentacji, lecz dla postulowanej i uprawianej przez Danutę Ulicką antropologii literaturoznawstwa; dzieje się tak chociażby u Stefana Szymutki, któremu zdarzało się w przypisie zakrzyknąć „Ten temat można by rozwijać, oj rozwijać!...” (S. SZYMUTKO: *Przeciw marzeniu? Jedenaście przykładów, ośmioro pisarzy*. Katowice 2006, s. 131), mężnie wyznać „Nie wstydzę się aluzji do Kabaretu Starszych Panów”

„Prawdziwy czytelnik jest bowiem zasadniczo młody, to człowiek ogromnej ciekawości; pomysłowości; o otwartym umyśle i komunikatywności, dla którego czytanie bardziej przypomina energiczny ruch na świeżym powietrzu niż studia prowadzone w ukryciu. Czytelnik rusza szerokim gościńcem, wspina się coraz wyżej, aż tam, gdzie trudno oddychać, bo atmosfera jest zbyt rozrzedzona. Dla niego czytanie nawet w najmniejszym stopniu nie jest czynnością stacjonarną” (V. WOOLF: *Godziny w bibliotece*. W: EADEM: *Eseje wybrane*. Przeł. M. HEYDEL. Kraków 2015, s. 47–48)².

(ibidem, s. 130), czy z rozbrajającą szczerością poprosić: „Wybaczyć brak lokalizacji! – gdzieś zapodziała mi się fiszka z bibliograficznym adresem” (IDEM: *Rzeczywistość jako zwątpienie w literaturze i literaturoznawstwie*. Katowice 1998, s. 150). W końcu, od czasu do czasu pojawia się w jeszcze innej roli – by tak rzec, określenia gatunkowego. Ba, od czasu od czasu udaje mi się nawet osiągnąć niebotyczną pozycję tytułu (i to nie tylko książek akademickich, takich jak choćby *Prowincja centrum. Przypisy do Schulza Jerzego JARZĘBSKIEGO* czy *Przypisy do życia Marty wyki*, ale również tekstów literackich, by wymienić tu tylko *Przypisy do człowieka* Lothara HERBSTA). A jednak (jeśli tylko przypis przyzwolić sobie może na szczerość), coś z tego, skoro zostaje ze mnie wówczas zaledwie metaforyczny powidok? Odczuwam satysfakcję, kiedy gościć mogę, dajmy na to, odnoszące się do napisanej przez Mariana KISIELA książki *Przypisy do współczesności* omówienie Krzysztofa UNIŁOWSKIEGO, już w swoim tytule słusznie obwieszczające, iż *Przypis nie jest nauką łatwą ani małą* – ale coś z tego, skoro funkcjonuję tam na zasadzie „kategorii quasi-genologicznej”, oznaczającą zaledwie „pewną formułę wypowiedzi polonistycznej, pewną szczególną odmianę eseju”, która „odnosi się do czegoś uprzedniego, do »tekstu głównego«” i która ów uprzednio istniejący tekst główny „rozwija, uszczegóławia”, ale i „krytykuje, [...] prostuje, sugeruje rozwiązania alternatywne” („Śląsk” 2006, nr 7, s. 66)? Owszem, pochlebia mi, że krytyk umieszcza mnie tym samym obok takich „niby-gatunkowych określeń”, jak „donosy rzeczywistości”, „śnitki” i „frywole” Białoszewskiego – ale coś z tego, skoro powstały w ten sposób rzekomy gatunek „przypisu” liczyć może sobie co najwyżej kilka tytułów? Znacznie bardziej satysfakcjonuje mnie, jak przedstawiony zostałem w książce Cezarego WODZIŃSKIEGO *Logo nieśmiertelności. Przypisy Platona do Sokratesa*, w której uznany zostałem za oręż największego z myślicieli – tego, o którym nie przez przypadek powiedziano przecież, że cała filozofia to „historia przypisów” do jego dzieła (zob. A.N. WHITEHEAD: *Process and Reality*. New York 1929, s. 63). Jakkolwiek by nie było, przyznaję, że myśl ta skrzydłata, identyfikująca filozofię z działalnością przypisu, jest mi nader bliska. Powiedziałbym wręcz, że nie filozofia jedna, a wszelkie teksty, które przyniosły ludzkości jakiegokolwiek pożytek, były – lub prędzej czy później zostawały – opatrzone przypisami, od Biblii do *Ziemi jałowej*.

- 2 Być może zarzucisz mi, Prawdziwy Czytelniku, że przesadzam i że ze zbytnią łatwością zrównuję w sobie dyskursy i dziedziny zupełnie różne. Przyznać musisz jednak, że w zrównywaniu wszystkich i wszystkiego,

co tylko znajdzie się w moim obrębie, nie mam sobie równych. Jeżeli teksty główne skazane są na dyktat kompozycji, niemogący nie odzwierciedlać rozmaitych hierarchii i hegemonii, to ja – tekst podległy – podlegam wyłącznie najbardziej demokratycznym i równościowym władzom: przyległości i liczby. To dzięki nim zrównuje wszystkich, by połączyć ich zgodnie z nieubłagany prawem serii: Williama Shakespeare’a z Robertem Shea, Joannę Salamon z Januszem Stawińskim, Micka Jaggera z Janem od Krzyża. Dla wszelkiego majestatu, wszelkich władz, tronów i zwierzchności, objawiam się jako (*hope you guessed my name*) – śmierć. Czyż to nie ona zrównuje wszystkich? I nawet jeśli wydaje ci się, że nie tańczę, zechciej przyjąć do wiadomości, że co najwyżej nie tańczę jak ona (w niteczce? gęsiego? w kole?). Tańczę inaczej, piekielnie dobrze, bez zasad i porządku, w anarchicznych podrygach prezentując swoje własne figury i tropy – choć zamiast lśniącego parkietu wolę robić to, dajmy na to, na rogu ulicy ósmej i szóstej alei. To w takich miejscach (jakże odległych od uporządkowanych słownikowych szpalt!) możesz się do mnie przytączyć, jeżeli tylko mój taniec nie zrazi Cię jako nie dosyć dystyngowany. Jeśli tylko nie odrzuca Cię taka osobliwość jak tańczący przypis, jeśli tylko stać Cię na to, by zniżyć się do mojego poziomu, zejść na poziom przypisu – *get into something new!*

Lecz mniejsza o wyjątkowość – tylko taką mogę cię przyjąć. Książko, Autor-ko, Czytelniczko. Oto czynię wszystko mniejsze, pod dane – obwieścić mógłbym wszem i wobec, gdyby tylko leżało to w mojej naturze. Mniejszość to dewiza mej gościny, pierwsze przykazanie gościnności przypisu. Jestem tekstem mniejszym – ale i tekstem pomniejszającym, pod miotającym, podmiotem. Nie jednak w dumnym i uświęconym znaczeniu władczego podmiotu filozofii – podmiotu poznania i pychy, lecz nigdy pragnienia. Jestem podmiotem prawdziwym, etymologicznym, a zatem porzuconym pod drzwiami podrzutkiem czy nawet, jak notuje nieoceniony Linde, „słomą, którą pod bydło ścielą”. Rzucony pod tekst główny przyjmuję wszystko; gościnność jest bowiem dla mnie, podobnie jak dla Tadeusza Sławka (który w przypisowym duchu przypisał definicję swojego autorstwa Immanuelowi Kantowi), „niczym ponad to, iż przyjmujemy wszystko, co przychodzi” (T. SŁAWEK: *Pięć esejów o gościnności*. Pszczyna 2000 [brak numerów stron]). Pragnąc mimo wszystko powiedzieć o gościnności nieco więcej, mógłbym odesłać do przynajmniej kilku, tak bardzo mi bliskich, wypisanych z poematu Sławka formuł gościnności („Goszcząc zdarzenia, robię im miejsce, usuwam się pod ścianę, / cofam się, by tego-co-przychodzi było coraz więcej, a mnie coraz mniej”; „Gościnność jest inną nazwą pokory. Im mniej mam do zaoferowania, im mniejszy mój dom, tym większa przestrzeń gościnności”; „W gościnności patrzę na świat nie swoimi oczami” – ibidem); równie dobrze jednak mógłbym zwrócić się do jego tekstów akademickich – na przykład do laudacji *Jacques Derrida: dekonstrukcje i etyka gościnności*, wygłoszonej w trakcie uroczystości przyznania francuskiemu filozofowi tytułu doktora honorowego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (w: *Jacques Derrida doctor honoris causa Universitatis Silesiensis*. Oprac. T. RACHWAŁ. Katowice 1997). Gościnność utożsamiona została tam wprost z dekonstrukcją („Dekonstrukcje [...] to filozofie gościnnego spotkania, polegającego na nieograniczonym otwieraniu się przestrzeni przyjmującej

„Właściwa rozmowa nie sprowadza się do konwersacji. Ta bowiem polega na penetrowaniu obrzeża tego, co w danym wypadku powiedziane, i właśnie nie wdaje się w to, co niepowiedziane. [...] W wielu przypadkach to wystarcza. W naszym nie. My bowiem pytamy” (M. HEIDEGGER: *Co zwie się myśleniem*. Przeł. J. MIZERA. Warszawa 2000, s. 119)³.

gościa” – ibidem, s. 7), zaś sposób, w jaki Sławek opisuje dekonstrukcyjną „mądrość”, pozwalałby określić ją mianem mądrości-przy-pisanej. Zwracając uwagę, że stroni ona od „wiedzy abstraktów” oraz „uczzonej debaty w filozoficzno-literackim salonie”, napisze on wszak: „Mądrość dekonstrukcji jest mądrością »obok« i »nie na temat«” (ibidem, s. 11). Czy nie prościej byłoby – zamiast rozprawiać o nieograniczonym otwarciu przestrzeni przy tekście – powiedzieć po prostu: „Mądrość dekonstrukcji to mądrość przypisu”? Wszak czy to nie mnie przedstawia Sławek, kiedy pisze: „Oto miejsce gościnne. Przyjmuje to-co-przychodzi, gdy wydaje się, że już nic nie przyjdzie” (ibidem)? W końcu zaś czyż „szeroki gościniec” lektury, o którym tak pięknie pisała Virginia Woolf, to nie ja właśnie? Przypomniał wszak niedawno Cezary Wodziński, że słowo *gościniec* ma „trzy znaczenia: to droga, która prowadzi w obce strony; zajazd przydrożny, gdzie goszczą obcy przybysze; i podarunek, który przywozi się, wracając z obczyzny” (C. WODZIŃSKI: *Odys gość. Esej o gościnności*. Gdańsk 2015, s. 5). Każde z tych znaczeń – rozdroże, domostwo, dar (dla) myśli – mogłoby stać się moim drugim imieniem.

- 3 Zdążyłeś już, Czytelniku, zatęsknić za numeracją? Proszę bardzo: *Wnętrze* (1984): 9; *The Outlined Shadow* (1985): 2; *Między literami* (1989): 7; *The Dark Glory* (1990): 1; *Człowiek radosny* (1994): 0; *U-bywać* (2001): 7; *Antygonia w świecie korporacji* (2002): 1; *Żaglowiec, czyli przeciw swojskości* (2006): 4; *Ujmować* (2009): 9; *Kim jesteśmy?* (2011): 0; *NiCowanie świata* (2012): 0; *U-chodzić* (2015): 8. Liczby po tytułach i datach kolejnych, nierzadko bardzo przeciwieństwonych, monografi Tadeusza Sławka oznaczają łączną ilość występujących w nich przypisów dygresyjnych, polemicznych i rozszerzających – słowem, wszystkich tych, które nie ograniczają się jedynie do wskazania źródła cytatu, lecz umożliwiają to, co każdy z nas, przypisów, lubi najbardziej: przełamanie linearności tekstu, otwarcie alternatywnej ścieżki lektury, udzielenie gościnności myśli odmiennej, nieuprzywilejowanej, a przez to często odkrywczej czy po prostu ciekawszej. I chociaż powyżej wymienię jedynie jednoautorskie monografie, nie inaczej ma się rzecz w książkach pisanych przez Sławka na zasadzie podwójnego autorstwa (przede wszystkim z Tadeuszem Rachwałem, ale także z Davidem Jarrettem, Ewą Sławkową czy Donaldem Westlingiem), jak również w jego rozlicznych akademickich artykułach i esejach (np. pamiętna „*Czytająca list przy otwartym oknie*” nie ma przypisów w ogóle. Zob. *Tekst (Czytelnik)*..., s. 164–182). Koniecznie dopowiedzieć należałoby przy tym, że książki Sławka – w przeważającej większości wydawane jako „Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach” i opatrzone odpowiednimi numerami w serii (np. *Ujmować* to nr 2726, *NiCowanie* 2937, zaś *U-chodzić* 3310) – podobnie jak inne akademickie rozprawy aż pęcznieją od ilości przypisów (i tak *Ujmować* ma ich 351,

nicowanie 271, zaś *U-chodzić* 344). Problem tylko w tym, że prawie zawsze funkcja tych ostatnich ogranicza się u Sławka do lokalizacji cytatów tudzież odesłań do przytaczanych tekstów. Tak, jakby uparcie nie pozwalał on nam, przypisom, pokazać swoich możliwości i rozwinać skrzydeł. Tak, jakby w imię przejrzystości wyводу nie chciał wznieść się z nami w przestworza tekstowego świata. Tak, jakby ograniczając się do zadośćuczynienia przykreemu obowiązкови, jaki nakładają na niego strażnicy naukowości upominający się o to, co cesarskie, bez żalu rezygnował z tego, co w nas prawdziwie boskie – swobodnego, anarchistycznego dryfu po tekstowym oceanie. Tak, jakby nie żeglował, nie tańczył, nie latał.

Niech jednak nie zwiedzie Cię, Czytelniku, nieobecność rozbudowanych przypisów w tekstach Sławka. Można jej bowiem, jak sądzę, przypisać znaczenie podobne do tego, jakie – zdaniem Jeana Baudrillarda – ma w stosunku do Ameryki Disneyland. Nawet jeśli z jakichś powodów nie pamiętasz tego słynnego fragmentu, powtórzę go tu specjalnie dla Ciebie (od czego ma się wszak przypisy?): otóż „Disneyland istnieje po to, by zataić fakt, że »rzeczywisty« kraj, cała »rzeczywista« Ameryka jest Disneylandem (trochę podobnie jak więzienia, które istnieją po to, by ukryć, że całe społeczeństwo w swej banalnej wszechobecności ma charakter karceralny)”. (J. BAUDRILLARD: *Symulakry i symulacja*. Przeł. S. KRÓLAK. Warszawa 2005, s. 19). Czas najwyższy powiedzieć to jasno: teksty Sławka nie posiadają prawdziwych przypisów, pragnąc zataić fakt, że same są przypisami. Że oto powstały one przy piśmie innych i że zachowują z nimi organiczny związek. Że ich zawartość i kształty dają się tłumaczyć tym właśnie, że były pisane przy lekturze tekstów innych; że to przy czytaniu, stale przenosząc wzrok na rozłożone wokół stronicie książek, Tadeusz Sławek pisze. Ale i – że jego pisanie, przy pisanie, ma miejsce przy piśmie (*écriture*), w tym znaczeniu, że autor *Maszyny do pisania* myśli przy pisaniu Derridy, w jego towarzystwie, choć nie bliskości (to dystans jest wszak, zdaniem ich obu, warunkiem przyjaźni, przypisania). I nie jest to błahy przepis na przypis, ale coś znacznie bardziej istotowego, sprawiającego, że przypisywanie Sławka może jawić się jako jedna z najbardziej derridiańskich strategii uprawiania humanistyki w Polsce czy też – jeśli kto woli – modelowy wręcz przykład funkcjonowania Barthes'owskiego tekstu do pisania. W istocie, teksty Sławka nie są tekstami do czytania – a ja, przypis, rozumiem to najprawdopodobniej znacznie lepiej od Ciebie, Czytelniku. Sławkowe przypisywanie wymaga bowiem przy pisania, pisania przy. To przypisując, stajesz się przyjacielem – przyjacielem innego. Przypisujesz się do niego. Przypisujesz się jemu.

Pytasz jak, Czytelniczko? Przypatrz się, jak przypisywał Sławek. Bez większej przesady powiedzieć można, że wszystkie jego teksty to nie teksty pisane o Blake'u, Thoreau czy o Szekspirze, ale teksty pisane przy nich, teksty (im) przypisane. Do pewnego stopnia podobnie pisywał Andrzej Falkiewicz, który swojemu *Polskiemu kosmosowi* nadał zapadający w pamięć podtytuł *10 esejów przy Gombrowiczu*, ale który przecież – jak przekonuje Andrzej Skrendo – we wszystkich swoich książkach, z wyłączeniem debiutanckiej, „nie interesował [się] po prostu analizą dzieł sztuki, ale w co najmniej równym stopniu tym, co przy ich pomocy chce powiedzieć, a co nie musi – choć może – wprost łączyć się z analizowanymi dziełami” (A. SKRENDO: *Czytanie Falkiewicza. Prolegomena*.

„Prawdziwy poeta nie unika wpływów i zapożyczeń, a często pielęgnuje je i na wszelkie sposoby podkreśla. Nic tak fizycznie (nawet fizjologicznie) nie cieszy, jak powtarzanie cudzych wierszy – po cichu albo na głos. Obawa przed wpływem, obawa przed zależnością to obawa – i choroba – dzikusa, ale nie kultury, która cała jest dziedziczeniem, cała – echem. Niechże ktoś z Państwa zechce to przekazać panu Haroldowi Bloomowi. [...] Ukryte cytaty? Tylko w tym sensie, że czas powtarza formę rozpacz. Wpływy? Tylko w tym sensie, że dusza, która się spełnia, wprawia w ruch duszę dopiero się kształtującą” (J. BRODSKI: *Przypis do komentarza*. Przeł. A. POMORSKI. „Zeszyty Literackie” 2005, nr 4 (92), s. 37, 51)⁴.

W: „*Nie przeczytane*”. *Studia o twórczości Andrzeja Falkiewicza*. Red. J. BOROWIEC, T. MIZERKIEWICZ. Wrocław 2014, s. 21). W rozmowie z Sergiuszem Sterną-Wachowiakiem tłumaczył Falkiewicz: „pisać »przy«, nie »o«, nie tylko dlatego, że szukam tam tego samego pytania czy głosu, ale że szukam siebie. Śmiesznie jest się przyznać i nie brzmi to zbyt ładnie: szukam pisarzy, pod których mógłbym się podszyc. Podszyc się pod kogoś, mówić razem z nim jego głosem, a wypowiadać siebie – za każdym razem szukam pisarza, za pomocą którego mógłbym opowiedzieć o sobie” (*To nie jest kultura, to jest żywe biatko*. W: „*Nie przeczytane*”..., s. 327–328). Inaczej będzie jednak u Sławka, w którego tekstach ze świecą szukać podobnej – ambiwalentnej, bo ambiwalentnej, lecz jednak – afirmacji autorskiej jednostkowości (być może jest to kwestia tego, że tam, gdzie Falkiewicz wołał Artauda, tam Sławek zawsze wybiera Derridę). Zachowując tekstylną, a zatem i tekstualną, metaforykę, powiedzieć można, że – zamiast podszyc się pod głosy innych – przy pisując, autor *Maszyny do pisania* przyszywa swoje teksty do tekstów przezeń czytanych. Nie używa jednak wybranych przez siebie autorów i ich autorytetów po to, aby – jak bezceremonialnie i po gombrowiczowsku wyznaje Falkiewicz – „»wyrazić siebie« [...] głosić siebie”, a przy tym „wnieść swoje własne, osobiste racje, racje teraźniejsze, w [...] przyszłą sytuację” (A. FALKIEWICZ: *Polski kosmos. 10 esejów przy Gombrowiczu*. Wrocław 1996, s. 230–231). Jeśli ja, przypis, mogę to zrozumieć, chodziłoby Sławkowi raczej o to, by oddając głos, darować go autorom minionym: nie po to jednak, by na wątych skrzydłach nostalgii przenieść się w ich czasy, w sytuacje przeszłe, lecz po to, by umożliwić im wypowiedzanie się w sprawach dnia dzisiejszego, rozpoznawanych jako istotne dla naszego „tu i teraz”. Przypisując – przyszywa Sławek ważnych dla niego autorów do tkaniny kultury nam współczesnej, naszej kultury. Dając głos (mam podstawy sądzić, że psie konotacje tego wyrażenia zostałyby przez Sławka zaakceptowane), umożliwia on czytelnikom podjęcie z nimi rozmowy, zaś im samym – oddziaływanie na świat, który nie miał szczęścia stać się ich światem.

4 Kto jak kto, ale ja, skazany na pieskie życie przypisu, rozumiem doskonale, co to oznacza: pomniejszość czy też, jak za Aniołem Ślązakiem lubi powtarzać Sławek, *Verkleinerung*, lub też w końcu, mówiąc jeszcze bardziej jego językiem, *u-bywanie* (skądinąd, to z pewnością nie przypadek, że rozbrzmiewający po książce o Blake'u wspólnotowy ton

Ujmować skontrapunktowany zostanie w końcu atopicznym *U-cho-dzić...*). Gdyby tylko funkcjonował Sławek w ramach paradygmatu romantycznego, można by mówić o jego pisarstwie jako o natchnionym, przestającą go w medium tych, którzy odeszli. Jednak w swoich książkach („Pracach Naukowych Uniwersytetu Śląskiego”) Sławek wyraźnie stroni od roli widmowo natchnionego mediatora, pragnąc pozostać jedynie przypisyującym, a zatem – mówiąc krócej i w analogii do takich formacji słowotwórczych jak „dziejopis” czy „bajkopis” – przypisem. Tadeusz Sławek: przypis. Nasza baudrillardowska refleksja przybiera zatem i wymiar podmiotowy: w tekstach Sławka pojawia się tak mało przypisów z prawdziwego zdarzenia, aby zakamuflować fakt, że przypisem jest sam ich autor. Parafrazując Deleuze’a i Guattariego, piszących o nowelach Kafki „w swoim pokoju Kafka staje się zwierzęciem – oto temat nowel” (G. DELEUZE, F. GUATTARI: *Składniki ekspresji*. Przeł. P. MOŚCICKI. W: *Nienasycone. Filozofowie o Kafce*. Przeł. Ł. MUSIAŁ, A. ŻYCHLIŃSKI. Kraków 2011, s. 178), powiedzieć by można: w swoim pokoju Sławek staje się przypisem – oto temat „prac naukowych” przezeń podpisanych. I nie ma w tym żadnej depersonalizacji, reifikacji, rezygnacji – raczej ruch, rozrzut, wir energii (notuje Jacek GUTOROW: „Teksty Tadeusza Sławka opisują człowieka w ruchu” – IDEM: *Na progu myślenia. Piętnaście fragmentów dla Tadeusza Sławka*. W: *Myśl wędrująca. Księga pamiątkowa dla Tadeusza Sławka*. Red. I. DOBOSIEWICZ, J. GUTOROW, R.W. WOLNY. Opole 2006, s. 51). Czyż Sławek nie mówi w gruncie rzeczy o sobie w *Pieśni kopisty* (z pewnością pisanej przy słynnym opowiadaniu Melville’a), gdzie czytamy: „Moje słowo nie jest słowem, które było na początku / ani tym, które będzie na końcu, / ani nawet drewnikiem w strumieniu źródła. // Nie jest w ogóle słowem. // [...] Moim rzemiosłem jest litera. / Profil niewidzialnego wnętrza. / Energia tak wielka, / że przeraża mnie sama myśl o energii słowa / i cofam się przed dodaniem litery do litery” (T. SŁAWEK: *Rozmowa. Wiersze*. Katowice 1985, s. 8)? Chociaż przypisywanie przepisywaniu nierówne, to jednak towarzyszyć mu może podobne przekonanie o mocy słowa, podobna obawa, by go nie nadużyć – i podobna przezorność w jego używaniu. Wydaje się, że przyrównując się do rzemieślnika litery, przypisywałby sobie Sławek służebną rolę podanego języka, myśli, świata. Doceniając siebie zaledwie jako pisarza liter, autor *Mędzy literami* umniejsza się, ubywa, by oddać pole Tobie, Czytelniczko. Jego teksty nie rzucają się z melancholijną rezygnacją w objęcia śmierci, lecz wysyłane są zawsze w sprawach życia.

Tu i ówdzie Tadeusz Sławek wydaje się dawać Tobie, Czytelniku, wgląd w przypisową strukturę jego książek: do myślenia dawać mogą już podtytuły niektórych jego monografii czy tekstów (jak np. *Kim jesteśmy? Fragmenty do poezji Georga Trakla czy nicowanie świata. Zdania z Szekspira*), nade wszystko jednak uwagę zwraca – z całą pewnością ożywiana duchem przypisu – nietypowa postać wielu z nich. To, co w królestwie słowa wydaje się znaczyć mało lub nic zgoła, w krainie litery – jako materialne, wizualne, literalne – wyrażać może wiele. Pierwszoplanowa rola obramowań, ramek, a nawet rebusów (vide: ostatnia strona *Maszyny do pisania*), predylekcja do rozczłonkowania tekstu na prowadzone równolegle kolumny, heroiczna w PRL-u wiara w reprodukcję, w końcu zaś mnogość stosowanych czcionek i środków typograficznych umożliwiających wyodrębnianie

wybranych morfemów, słów czy większych partii tekstu – wszystko to nie jest jedynie (jak i ja) nadmiarową inkrustacją czy fakultatywnym uzupełnieniem, lecz koniecznym i aktywnym wymiarem dyskursu. Rzecz jasna, wszystkie te typograficzne eksperymenty nie pozostają bez związku z Derridą, przy którym stale pisuje Stawek; nic zatem dziwnego, że sporo będzie ich również w prekursorskiej w Polsce *Maszynie do pisania* (Warszawa 1992). W zamieszczonej tam *Dygresji g. O dygresjach* zacytowane jest znamienne wyznaczenie francuskiego filozofa: „poruszam się od dygresji do dygresji (*d'ecart en ecart*), przesiadam się z jednego środka komunikacji do drugiego. [...] Mogę zahamować tylko wpadając w poślizg, to znaczy, rezygnując do pewnego stopnia z kontroli nad kierownicą” (J. DERRIDA: *La retrait de la metaphore*. „Enliti” 1978, Vol. 2, No 2, s. 6). U Stawki i Rachwała fragment ten funkcjonuje jako autoprezentacja pisarstwa Derridy jako takiego – nie zaś tylko *Glas*, *Tympan* czy też *Circonfession* – owych „pięćdziesięciu dziewięciu okrążeń i peryfraz” u dołu każdej stronicy, które towarzyszą ciągłemu tekstowi Geoffreya Benningtona i żywo przypominają mogą tekst przypisowy (Zob. G. BENNINGTON, J. DERRIDA: *Jacques Derrida*. Przet. V. SZYDŁOWSKA-HMIŚ. Warszawa 2009). Zdaniem Jacka Gutorowa wszystkie wymienione zabiegi Stawka „mają na celu skomplikowanie i problematyzację formuły tekstu krytycznego, rozbudowanie jego wrażliwości na własną retorykę i otwarcie na inne języki i dyskursy” (J. GUTOROW: *Na progu...*, s. 48). Otwartość ta jest otwartością przypisu; czy można wyobrazić sobie lepsze miejsce dla praktykowanego w tekstach Stawka „»myślenia płomienistego« – myślenia nieosadzonego, rozproszonego, przychodzącego z wszelkiego rodzaju luk i wyrw pojawiających się w logice wywodu filozofa bądź filologa” (ibidem, s. 51). Nieprzypadkowo zresztą poświęconemu Stawkowi esejowi nadał Gutorow postać ponumerowanych fragmentów o zróżnicowanych rozmiarach i charakterze, z których niektóre mają – jak ujmuje to badacz – jawnie dygresyjny charakter „wtężeń” (ibidem, s. 42). Postać tę dobrze znają czytelnicy tekstów Stawka – chociażby eseju „*Zastanówmy się nad tym, jak żyjemy*”. Henry David Thoreau i praktyka wspólnoty (W: *Wizerunki wspólnoty. Studia i szkice z literatury i antropologii porównawczej*. Red. Z. KADŁUBEK, T. STAWEK. Katowice 2008, s. 15–69). W opublikowanej rok później monografii *Ujmować. Henry David Thoreau i wspólnota świata* (Katowice 2009) numeracja zniknie; pozostanie jednak zwracająca uwagę przypisowa organizacja tekstu: oto na książkę składają się 721 fragmenty, z których żaden nie przekracza 13 linii znormalizowanego maszynopisu i które niczym przypisy zachowują – momentami daleko posuniętą – narracyjną autonomię. Tę nielinearną strukturę odnaleźć można również w monografii o Traklu z 2011 roku (z tą różnicą, że dodatkowo podzielona została ona na rozdziały) oraz w Stawkowych tekstach z książki *Oikologia. Nauka o domu* (Katowice 2013), gdzie powraca praktyka numerowania kolejnych fragmentów. W końcu w książce o Szekspirze przypisowy charakter tych ostatnich wydobyty zostanie bodaj najwyraźniej: każdy z nich jest wszak komentarzem do zdań, fraz i wyrażeń czy nawet pojedynczych słów wypisanych z tekstów Szekspira. Przyznać muszę, że jest to jedna z moich ulubionych książek: wyjąwszy niedościgniony *Blady ogień*, nie ma chyba innej, która byłaby tak bardzo przypisowa – pisana przy pisaniu innego, Wielkiego Innego. Być może jeszcze bardziej interesująca powinna stać się dla mnie najnowsza książka Stawka *U-chodzić* (Katowice 2015),

„Przypis jest, jak przedmowa, naddatkiem literatury, w którym tekst może się spełnić, jest resztą, która jest milczeniem i resztą, której nie trzeba” (T. RACHWAŁ, T. SŁAWEK: *Maszyna do pisania. O dekonstruktywistycznej teorii literatury Jacquesa Derridy*. Warszawa 1992, s. 186)⁵.

której poszczególne fragmenty (bardzo często rozpoczynające się od użytego w tytule czasownika) wydają się stanowić przypisy do samego tytułowego słowa, opalizującego coraz to nowymi znaczeniami i potencjalnymi intertekstualnymi możliwościami. Wreszcie nie mogą odmówić sobie przyjemności odnotowania, że także i poezje Sławka wydają się nieraz przybierać formę numerowanych przypisków do uprzednich względem nich tekstów (zob. np. *Komentarze do „Tygrysa” Williama Blake’a*. W: *O głodzie. Wiersze*. Katowice 1994, s. 45–48), postaci (zob. np. *Hiob*. W: *Rozmowa. Wiersze*. Katowice 1985, s. 9–11), czy fenomenów (zob. np. *O rozmowie*. W: *Rozmowa...*, s. 14–17) – by nie wspomnieć już o tekstach wykonywanych wspólnie z Bohdanem Mizerskim esejów na głos i kontrabas, których spore partie zajmują przetłumaczone czy sparafrazowane teksty autorów wcześniejszych. Czyżby całe piarstwo Tadeusza Sławka ustrukturalizowane było przypisowo?

- 5 Jeszcze trochę liczb, Czytelniku? Autorem, któremu Tadeusz Sławek poświęcił największą ilość tekstów nie jest wcale William Blake, Friedrich Nietzsche lub Henry David Thoreau, ale... Stanisław Dróżdż. Że jest ich najwięcej ja, podległy prawu policzalności przypis, wiem bardzo dobrze – podobnie jak i o tym, że liczby nie kłamią. Rzecz jasna, mówimy o tekstach znacznie krótszych niż te poświęcone Blake’owi, lecz nie zmienia to faktu, że autor *U-bywać* towarzyszył Dróżdżowi przez całe jego życie, a i po śmierci swoimi esejami współtworzył poświęcone mu retrospektywy i publikacje (ostatni do tej pory, opatrzony znamienym tytułem *Sztuka Stanisława Dróżdża: człowiek u-bywający*, odnaleźć można w albumie *Stanisław Dróżdż: Pojęciokształty. Poezja konkretna 1967–2003 / Conceptiforms. Concrete poetry 1967–2003*. Red. A. PRZYWARA. Warszawa 2014, s. 48–66). Nie bez znaczenia jest przy tym to, że Dróżdż darzył opinie Sławka szczególną atencją; symptomatyczna wydaje się jego odpowiedź na skomplikowane pytanie o materialność i przedmiotowość języka zadane mu przez Magdalenę Gryglicką-Dawidek: „Ale ja Pani na to pytanie nie odpowiem, nie dam rady. Przerasta mnie. Przepraszam. Ja się nigdy nad tym nie zastanawiałem. Może gdyby Pani rozmawiała ze Sławkiem, to on by to jakoś Pani wytłumaczył i by mnie jakoś wybronił” (M. DAWIDEK-GRYGLICKA: *Odprysk poezji. Stanisław Dróżdż mówi. / A Piece of Poetry. Conversations with Stanisław Dróżdż*. Kraków 2012, s. 262); słowo „Sławkiem” opatrzone zostało, jakże by inaczej, mną, przypisem, najwyraźniej po to, abym – niektórzy naiwnie sądzą, że to moja jedyna funkcja – oddalił wątpliwości i upewnił czytelników, że istotnie ma artysta na myśli „filozofa i literaturoznawcę związanego z Katedrą Literatury Porównawczej Uniwersytetu Śląskiego, przyjaciela Dróżdża i obserwatora jego twórczości”. Dodajmy, że „filozofowi i literaturoznawcy” owemu – najpewniej pod wpływem obserwowanej przezeń poezji – zdarza się przeistoczyć w konkretystę, co tylko upewniać może, że prowadzony przez niego dialog z Dróżdżem ma w istocie postać obustronnej inspiracji; dzieje się

tak na przykład na ostatniej stronie *Maszyny do pisania* (s. 246), a także we wspomnianym już tekście *Sztuka Stanisława Dróżdża* (s. 59–61), w którym zaproponuje Stawek własną wersję „między”, zaś układ jego tekstu jeszcze przed dwie następujące potem stronicie wizualnie imitować będzie ruch umniejszania się.

Wygłada zatem na to, że spotkanie z poezją konkretną Dróżdża (pewnie nie przez przypadek urodzonego i organizującego swoje konferencje nie gdzie indziej, a w Sławkowie) naznaczyło Stawkę raz na zawsze (czy naznaczenie nie „zdarza się tylko raz”?); Spotkanie owo nastąpić musiało najpóźniej w 1976 roku, kiedy to w szóstym numerze „Poezji” w sąsiedztwie prac Dróżdża opublikowano pierwszy poświęcony konkretyzmowi esej Stawki, noszący tytuł „*Ogólna sztuka słowa*”. (*Kilka uwag o istocie poezji konkretnej*). W tekście tym – *nota bene* podkreślającym, że w poezji wizualnej, podobnie jak w wypadku tekstu opatrzonego przypisami, „linearność ustępuje [...] miejsca przestrzenności” (ibidem, s. 9) – nie pojawiło się jeszcze nazwisko Dróżdża, ale już w następnym roku, kiedy to w „Nowym Wyrazie” ukazuje się artykuł *Chłodnym okiem. O poezji konkretnej* („Nowy Wyraz” 1978, nr 10, s. 55–57), Stawek rozpocznie swoją przygodę z interpretowaniem poezji autora *Między*, niebawem zaś stanie się etatowym wręcz autorem komentarzy zamieszczanych w katalogach jego wystaw. Spośród nich najbardziej frapujący wydaje mi się dziś tekst, w którym uwagę autora *Ujmować* przykuł ni mniej, ni więcej, a właśnie, tak bliski mojej przypisowej naturze – ciąg liczb. Już w opublikowanym w monografii *Między literami* eseju poświęconym „tekstom cyfrowym” polskiego konkretysty przekonywał Stawek, że „cyfry Dróżdża są obrazem pewnej nieskończoności. [...] Ich ciągi mogą przebiegać w nieskończoność, podobnie zresztą jak ich uporządkowane wyliczanie” (Wrocław 1989, s. 134). Ale dopiero w eseju, do którego odsyłam – noszącym wymowny tytuł *Kaplica Dróżdża i opublikowanym w katalogu z wystawy Słowa, zdania / cyfry, liczby – wzajemne przenikanie* (Galeria Foksal, Warszawa 2005 [brak numerów stron]) – skonfrontuje się Stawek z doświadczeniem wejścia w ową liczbową nieskończoność. Umożliwia to instalacja Dróżdża przybierająca postać otaczającego widza „czarno-biało-szarego fryzu”, utworzonego z „długich kolumn słów/zdań/cyfr/liczb” (ibidem). Jak napisze autor *Wnętrza*, znajdując się między nimi, „odczuwamy cały czas [...] pulsację między słowem, które niesie z sobą niezmierzone bogactwo filozoficzno-estetyczno-teologicznego znaczenia i kształtem artystycznym należącym do sfery tego, co Fryderyk Schiller w swych słynnych *Listach o estetycznym wychowaniu człowieka* nazwał »radosnym państwem gry i pozorów«” (ibidem; cytat w cytacie: F. SCHILLER: *Listy o estetycznym wychowaniu człowieka i inne rozprawy*. Przeł. I. KROŃSKA, J. PROKOPIUK. Warszawa 1972, s. 167). Przypisowe przypisanie Dróżdżowi Schillerowskiej afirmacji *das Spiel* motywuje wywoływana przez jego instalację pulsująca migotliwość percepcji. Pisz Stawek: „Trzeba [...] wykonać dwa ruchy, którym towarzyszą dwa spojrzenia: w stronę ścian i plansz (wtedy zobaczymy »słowa«), i z powrotem, w miejsce, w którym przestajemy widzieć »słowa«, chociaż te ostatnie zostają zniekształcone, rozmyte przez odległość” (T. STAWEK: *Kaplica Dróżdża...*). Owa przemienność spojrzenia wydaje się nie najgorzej definiować nasze bycie(-ku-śmierci), przybierające w Sławkowym przypisywaniu

specyficznie niewielką i niefinalną – pod pewnymi względami zbliżoną do „myśli słabej” Gianniego Vattimo – postać bycia-przy(-życiu). W tym sensie przypisywanie dawałoby się odczytywać jako lekcja nieustannej afirmacji życia i wezwanie do tego, by na koniecznej drodze ku, z przyjaźnią zwracać się do tego, co zostało postawione przy nas, co kieruje się do nas jako przystawione. Zaobserwowana przemienność percepcji wskazuje również na prawdziwą wartość pisarskiego projektu Stawka: niemieszczącego się bez reszty ani w słowie (w myśli, w znaczeniu), ani w literze (w kształcie, w grze) – lecz przy nich. Stając przy instalacji Dróżdza (nie zaś przed nią bądź za nią), stara się Stawek zachować zbawienną – zaryzykujemy neologizm – *przymiennosc* percepcji, w której świat mieni się zarazem swoimi znaczeniami, jak i kształtami; wydaje się napisany tak słowem, jak literą. Doświadczenie wywołane przez pracę polskiego konkretysty przyrównuje autor *Ujmować* do wizyty w słynnej Rothko Chapel w Houston, której ciemne, monochromatyczne płótna szczelnie pokrywające większość murów stawiają pod znakiem zapytania możliwość estetycznej percepcji obrazów i – co za tym idzie – rozumienia jej jako kontemplacji, a ich samych jako przedstawień: „Obraz (jeśli to słowo jest w ogóle trafne w tym przypadku) zwykle oddaje to, co znajduje się PRZED nim, to, na co spogląda okiem malarza; tutaj jest inaczej – płótno stara się dociec tego, co jest ZA nim, co jest od niego wcześniejsze, starsze, co obraz umożliwia, z czego się wszelki znak dopiero wyłania” (ibidem). Mamy zatem do czynienia nie tylko z modyfikacją Rancière’owskiego reżimu przedstawieniowego, ale również z rodzajem reinterpretacji funkcjonowania właściwego dla awangardy reżimu estetycznego, w postsekularnym duchu odkrywającej w tym, co świeckie, residuum niepewnej, migotliwej świętości: „Oto zostaje zawieszony między tym, co święte, a tym, co świeckie i teraz już nie wiem, czy znajduję się po stronie ziemskiego oglądu sztuki (w galerii), czy po stronie *sacrum*, dla którego sztuka znaczy już coś zgoła innego” (ibidem). Przypisanie omawianej instalacji właściwej dla przestrzeni Rothki specyficznie (nie)obecnej postsekularnej duchowości, a następnie przystawienie ich do siebie uwidacznia afirmowaną w pracach Dróżdza postawę gotowości i gościnności: „Muszę być gotowy na przyjęcie tego, co dopiero się pojawi i w tym znaczeniu obrazy te są filozofią gościnności bezwarunkowej, bowiem nie tej, która przyjmuje jakiś kształt dlatego, że jest »użyteczny« lub »piękny«, lecz która jest gotowa przyjąć to, co jeszcze nie ma żadnego zarysu i żadnego znaczenia” (ibidem). W interpretacji Stawka konkretystyczne działania Dróżdza jawią się zatem jako rodzaj mesjańskiego przypatrywania się temu, co wydaje się nadchodzić, a co nie przybrało jeszcze żadnej oczekiwanej postaci (w *Pięciu esejach o gościnności* notował on: „Gościnne – jest białe na białym”). Przypisujący Stawek staje się rzecznikiem właściwej dla niego duchowości – duchowości mniejszej, grającej o stawkę, jaka może wydawać się stawką mniejszą, a w istocie konfrontuje się z właściwą dla naszych zeświecczonych spotęceństw „potrzebą teologii trudnej, może wręcz niemożliwej nadziei, teologii nie obietnicy, ale tragicznej konfrontacji ze światem obietnicy pozbawionym” (T. SŁAWEK: *Wyswobodzenie Boga*. „Tygodnik Powszechny” 2006, nr 3). W duchowości tej ani się przed Bogiem nie staje („U drzwi Twoich stoję, Panie...”), ani nie wymaga się od Boga stawania przy nas („Ty w dzień i w nocy przy mnie stój...”), lecz do Boga można się co najwyżej przy

stawiać – poza konwencją i poza konfesją. Jak nikt inny wyzyskuje przy tym Stawek teologiczno-duchowy potencjał poezji konkretnej, zdaniem niektórych mogącą stanowić co najwyżej formalistyczną igraszkę. Intuicja ta daje się w tekstach Stawka odnaleźć bardzo wcześnie i można sądzić, że to przede wszystkim ona nakazywała mu przez tyle lat stawać przy kolejnych wierszach i pracach Dróżdża. Jako przypis wiem to i owo, więc dodać mogę, że nie jest to bynajmniej intuicja odosobniona – argumentował np. Witold Wirpsza, że „najjaskrawsze” eksperymenty „dadaizmu, letryzmu, poezji konkretnej” wzięły się z odkrycia „takich pokładów życia duchowego, którym dać wyraz (formę) za pomocą tradycyjnego instrumentarium nie sposób” (W. WIRPSZA: *In dubio pro arte*. W: IDEM: *Gra znaczeń. Przerób*, Mikołów 2008, s. 209). I chociaż Stawkowe przypisywanie to bez wątpienia także i formuła komparatystyczna, że świecą szukać w jego tekstach szerszej, syntetyzującej bądź historycznej, prezentacji podzielanego przez niego stanowiska; pierwszym przykazaniem komparatystyki, według Stawka, pozostaje wszak prymat przypisującej, odpowiedzialnej odpowiedzi na jednostkowe pytanie tekstu nad literaturoznawczym etosem analizy, syntezy i wartościowania. Pewien jestem, że nikt nie doświadczył owego prymatu bardziej niż ja. Przypis nigdy nie pisze bowiem o, próbując wchodzić w relacje postrzegane jako protekcyjne i definiowane przez znawstwo. Przypis pisze przy. Przy Blake’u czy przy Dróżdżu, ale również przy świecie, przy Innym pisanym wielką i przy innym pisanym małą literą. Przypis pisze również przy innym pisanym literą mniejszą (czy to przypadek, że *U-chodzić* napisane zostało akurat wtedy, kiedy powinniśmy byli pochylić się nad jeszcze bardziej innym innym?). W końcu przypis pisze przy Tobie. Przypisuje Cię bowiem nicości, w której znacznie więcej życia niż śniło się waszym filozofom. Stawka filozofii przypisu – filozofii Stawka – to nic innego niż bycie *przy*